

HENRYK WANIEK

Na skraju rzeczywistości

O malarstwie Mikołaja Birka

Śmiałe pociągnięcia pędzlem. Rozpryskująca się farba. Lub odwrotnie – z dużą fachowością wcierana na sucho. Gdy patrzy się na to przez lupę lub w odpowiednim powiększeniu, widać jakieś zacięcie wirtuozerskie, łatwość gestu, trafność malarskiej decyzji. Po prostu – maestria. Znając te obrazy zaledwie z reprodukcji i bardzo poruszony ich mistrzostwem, dałem się nabrać. Są to tylko rezultaty biegoty w uży-

Zatem w pierwszych słowach trzeba wyrazić uznanie dla tej cnoty, którą Niemcy nazywają – niezbyt elegancko – *Sitzfleisch*. Tak jest – bez cierpliwości i determinacji nie oglądalibyśmy tego wszystkiego. To, że się tu odwołuję do niemieckiego, może mieć związek, z tym, że gdy to wszystko obejrzałem po raz pierwszy, nie byłem w stanie odeprzeć najnaturalniejszego pod słońcem skojarzenia z obrazami Caspara Davida Frie-



Hollow, part II, 2018, malarstwo cyfrowe, z archiwum autora

waniu technik komputerowego retuszu. Dałem się nabrać, co nie znaczy, że skończyło się poczuciem zawodu. Bynajmniej.

Po pierwsze – takie czasy. Elektroniczne. Po drugie – obraz, niezależnie od techniki, jaką jest wykonany, pozostaje obrazem. Po trzecie wreszcie – szybciej i łatwiej byłoby, gdyby Mikołaj Birek posłużył się tradycyjną techniką malarską. Jest bowiem sprawnym rysownikiem i malarzem, co wiem z jego innych obrazów. Wyobrażam sobie, że posłużenie się Photoshopem (czy innym programem graficznym) zamiast ułatwiać trud kreacji, tylko dodaje nowych trudności i zmusza do stosowania całkiem odmiennej strategii. Niech nas nie łudzi nawet fakt, że wszystko to dzieje się na podłożu pierwotnego materiału fotograficznego. Przerobić zdjęcie na obraz quasi-malarski, to dalsze utrudnienie.

dricha. I w ogóle z malarstwem niemieckiego romantyzmu. To mnie nie mogło zaskoczyć, skoro oczywiste było, że są to wyimki z krajobrazu Dolnego Śląska, z którego nie zdążył jeszcze wyparować idiom kultury niemieckiej, choć już jest powleczone grubą warstwą barbarzyństwa. Poza tym znam ten świat jak własną kieszeń, jego trywialne, ale też i nadprzyrodzone uroki, rozpoznaję go nawet z zamkniętymi oczami, tym bardziej więc z otwartymi.

Ale skojarzenie z C.D. Friedrichem potraktujmy z przymrużeniem oka. Przede wszystkim przełom XVIII i XIX stulecia jest już dawno przebrzmiałą przeszłością. Friedrich nigdy w życiu nie widział torów kolejowych, choćby zarastających trawą. Nie widział – bo nie dożył – pięknego obrazu Johna Everetta Millais'a *Ofelia*, namalowanego dwadzieścia lat po śmierci



Ophelia, 2018, malarstwo cyfrowe, z archiwum autora

dreźnieńskiego mistrza. A poza tym, jeśli głębiej wejść w estetykę obrazów Mikołaja, widać w niej, że jednak malarskie efekty bliższe są warsztatowi Jana Styki czy Wojciecha Kossaka. Czyli ducha słowiańskiego. Ale nie ma potrzeby uciekania się do lupy. Wspomniałem tu o *Ofelii*, która nieco odstaje od tego zestawu obrazów. Właściwie należałoby jej poświęcić całkiem osobny tekst, bo piękny to i poruszający obraz. Zresztą niemal wszystkie, a przynajmniej większość jest poruszająca i piękna, więc tym się zajmijmy.

Zacznę od ich wiarygodności, pochodnej wszak od fotografii, czyli tego realizmu, do którego wkrada się jednak poetyka metafory. Że potoczna rzeczywistość Dolnego Śląska potrafi być żywą baśnią, to wiem skądinąd. Opustoszałe domostwo na podgórskim odludziu jest najprawdziwszą chatą z piernika i marcepanów. I wcale nie przeczy temu odłazający tynk, dziurawy dach i zwisające rynny. Dukt leśny kończący się mglistą jasnością to przecież wyraźna droga na drugą stronę lustra. Oczy jelonka fosforyzujące w leśnym półmroku są równie oczywiste jak stacyjka przy torze, po którym już nie pojedzie żaden pociąg. Nie zdarzyło mi się co prawda widzieć ludzkiej dłoni wystającej nad trawę, ale dzięki Mikołajowi już wiem, jak to może

wyglądać. Ale za to dobrze znam ten zapach, jaki panuje na strychach domów, gdzie nikt już nie mieszka. I widzę, że ten zapach również został namalowany jak trzeba. Podobnie jak cisza nocy z ożywionym Marsem i Drogą Mleczną. Podobnie jak głosy ptaków, plusk wody i szum wiatru – także namalowane. To właśnie przesądza o wiarygodności tych obrazów, które są głęboko zakorzenione w świecie widzialnym i realnym. Ale... Bierzemy za rzeczywistość taki stan rzeczy, jaki nie kłóci się z naszym zdrowym rozsądkiem. Który nie odbiega od prozy naszego potocznego doświadczenia. Jednym słowem – zwyczajność. Lecz, co to takiego ta zwyczajność? Gdy nieco uważniej przyjrzymy się otaczającemu nas stanowi rzeczy, łatwo dostrzeżemy pewne zachwiania, dziwności zaprzeczające trywialnemu porządkowi, jakieś wyjątki od reguł, w które niepotrzebnie tak ślepo wierzymy. Nigdzie tak silnie jak w górach Dolnego Śląska nie doznałem olśniewającego odkrycia, że rzeczywistość graniczy z czymś jeszcze. I tuż za jej progiem otwiera się dalszy, niewidzialny ciąg świata. Niewidzialny dopokąd coś go nie uczyni widzialnym. To może być obraz, piękna opowieść lub wędrówka po krajobrazie, który sam jest jak tajemnicza księga. Tak. W tych obrazach mógłbym zamieszkać.